Józef Piłsudski nad Przemszą i Brynicą



Pomnik Józefa Piłsudskiego w Katowicach.

Włodzimierz Wójcik

Przed Urzędem Wojewódzkim w Katowicach (przy ulicy Jagiellońskiej) stoi na postumencie pomnik Józefa Piłsudskiego przedstawiający postać Komendanta z szablą w dłoni, jadącego na rumaku. Pomnik został wykonany pod koniec lat międzywojennych w Zagrzebiu w Chorwacji przez wybitnego rzeźbiarza Iwana Mestrovicia (1883-1962), którego liczne dzieła, jak wiadomo, cechuje ekspresja, stylizacja, monumentalizm. Ufundowany ze środków zebranych przez społeczeństwo śląskie monument musiał przez kilkadziesiąt lat czekać w obrębie zagrzebskiego muzeum na sprowadzenie go do kraju.

Druga wojna światowa, a potem system rządów w Polsce, źle oceniających postać Marszałka i jego historyczny czyn, odwlekły sprawę na długi czas. Dopiero w klimacie rodzenia się i krzepnięcia Trzeciej Rzeczpospolitej w katowickim pejzażu pojawił się, po niezbędnej renowacji, uwieczniony w brązie ten, który „jedzie, jedzie na kasztance”… „Pieśń o Wodzu miłym” Wacława Kostka-Biernackiego (z muzyką Zygmunta Pomarańskiego) ciągle żyła w pamięci Polaków wielu pokoleń, podawana w wielu rodzinnych domach z ust do ust. Gloryfikowała „siwy strzelca strój”, ubranych w szare kurtki i czapki maciejówki „młodych strzelców rój” i przeciwstawiała im błyskotki i złocenia mundurów noszonych przez oficerów i

generałów państw zaborczych. Pod „szarą bluzą” Komendanta czy Brygadiera dostrzegała „serce ze złota”.

Mestrović w swoim dziele respektował polskie wyobrażenia „szarego żołnierza”. W jednym się jednak z nich wyłamał. „Kasztanka”, autentyczna, ulubiona klacz Piłsudskiego, pozostała w pieśni, zaś „miły Wódz” w wizji chorwackiego twórcy jedzie na monumentalnym ognistym rumaku, koniu bojowym, który pojawiał się od wieków na pomnikach wielkich postaci historycznych. Cóż, *Licentia poetica*… Prawa sztuki trzeba respektować.

Piłsudski źle widziany przez oficjalne władze po 1945 roku żył przecież bezustannie w narodowej świadomości jako uosobienie wartości wyższego rzędu. Historyczną wiedzę o jego roli w życiu narodu upowszechniali w domach rodzinnych ludzie starszego pokolenia, w szkołach nonkonformistyczni nauczyciele, literaci i publicyści, których teksty funkcjonowały w „drugim obiegu”. Z tą merytoryczną wiedzą zespolona była wyjątkowo silnie barwna legenda, której blask opromieniał postać Brygadiera niemal od początków naszego stulecia. Powstała ona, ewoluowała i przekształcała się głównie za sprawą literatury, ale także za sprawą różnego rodzaju dzieł plastycznych (rysunek, portrety olejne, rzeźba, znaczki pocztowe, pocztówki, medalierstwo itp.).

O Józefie Piłsudskim z podziwem pisali nie tylko twórcy, którzy

za jego sprawę szli w bój, ale także jego oponenci polityczni oraz ludzie, którzy znali go poniekąd z „wieści gminnej”, z obiegowych relacji… piękne strofy o nim układali nie tylko znani poeci, ale także żołnierze-amatorzy marznący w okopach. Z poszczególnych konterfektów literackich bohatera – kreowanych zarówno w dziełach wybitnych, jak i drugo- i trzeciorzędnych powstawało zbiorowe wyobrażenie Piłsudskiego jako postaci legendarnej. W różnych fazach dwudziestowiecznej historii Polski i w różnych fazach biografii Piłsudski stawał się uosobieniem rozmaitych ideałów i wartości drogich Polakom.

Mamy więc Piłsudskiego jako „człowieka podziemnego”, socjalistycznego bojownika przeciwko caratowi. Tak go widział Gustaw Daniłowski w powieści „Z minionych dni”. W końcowej fazie jego działalnosci jawił się jako tajemniczy Mocarz, Wódz, Achilles, Prometeusz (wiersze Leona Rygiera, Kazimierza Przerwy-Tetmajera); w fazie formowania Legionów stawał się „szarym żołnierzem”, prowadzącym na bój przeciw Moskalom „szarych żołnierzy” w „szarych maciejówkach” (utwory Alfonsa Dzięciołowskiego, Edwarda Ligockiego, Józefa Relidzyńskiego, Edwarda Słońskiego, Józefa Andrzeja Teslara, Wacława Sieroszewskiego, Juliusza Kadena Bandrowskiego, Andrzeja Struga i innych).

W miarę rozwoju działań wojennych widziano w Piłsudskim uosobienie Chrobrego i Batorego, Chodkiewicza i Zółkiewskiego,

Czarnieckiego, Jana Henryka Dąbrowskiego, Piotra Wysockiego i Romualda Traugutta. W okresie więzienia w Magdeburgu widziano w nim uosobienie bohaterów romantycznych dzieł Mickiewicza czy Słowackiego, bohaterów cierpiących w więzieniach za sprawę Ojczyzny (Konrad, Król-[Duch).

Na progu niepodległości, kiedy były więzień Magdeburga został Naczelnikiem Państwa, ukazywano Piłsudskiego jako kontynuatora dzieła Tadeusza Kościuszki – naczelnika w szarej sukmanie, który na Rynku Krakowskim przysięgał, że wypędzi z Polski Moskali. Dzieła tego nie udało mu się dokonać. Uczynił to Piłsudski. Stał się zwycięzcą. Zakończył wojny, utrwalił granice. Nic dziwnego, że równolegle z ta symboliką (Piłsudski-Kościuszko) pojawia się w strukturze na tym miejscu omawianej legendy – Piłsudski jako rycerz przekuwający miecze i szpady na lemiesze. Powstaje wiele nowych utworów, tym razem ukazujących dawnego Brygadiera jako oracza i siewcę, który zagospodarowuje kraj, buduje młyny piekarnie, zakłada normalne „przemysły". Sam Piłsudski dawał wyraźne sygnały, że się uważał za takiego budowniczego. Po zwycięskim powstaniu wielkopolskim, w czerwcu 1919 roku wygłosił w Poznaniu znamienne przemówienie:

> Idą czasy, których znamieniem będzie wyścig pracy, jak przedtem był wyścig żelaza, jak przedtem był wyścig krwi.

> Kto do tych zawodów bardziej przygotowany będzie, kto w tym wyścigu większe dowody wytrzymałości złoży, ten w najbliższych czasach będzie zwycięzcą, ten potrafi utrzymać to, co stracił.
>
> (PZ.V,117)

Słowa te w literaturze polskiej odzywały się głośnym echem. Wielu poetów w latach dwudziestych i trzydziestych podnosiło temat pracy w mieście i na wsi. Dość przypomnieć fragment wiersza Tadeusza Łopalewskiego *Piłsudski:*

> W belwederski ogrodzie wiatr wonny szeleści
>
> Mgła opada jak welon z świętego oblicza,
>
> Z tych oczu już wyzbytych i łez i boleści,
>
> Którymi go urzekła Pani tajemnicza.

> Więc w kuźniach dzwonią młoty, pług zagony orze,
>
> W przędzalniach przędą płótno błyskawiczne krosna
>
> Pan Marszałek swe okna na Polskę otworzył,
>
> Uśmiecha się do dzieci i mówi: „Już wiosna…”

Podobny ton znalazł się w przemówieniu Piłsudskiego do społeczeństwa śląskiego… Nastąpiło to dopiero w trzy lata po wystąpieniu poznańskim. Wiadomo przecież, że los Śląska ważył się w negocjacjach międzynarodowych. Po trzecim powstaniu, na Konferencji Ambasadorów w Genewie, doszło 15 maja 1922 roku po podpisaniu polsko-niemieckiej konwencji mającej regulować stosunki graniczne między polska a niemiecką częścią Górnego Śląska. 27 sierpnia tegoż roku przybył Piłsudski do Katowic. Wizytował te tereny, które przed laty oddzielały zabór pruski od rosyjskiego. Miejsce to było mu znane z przeszłości. W okresie redagowania socjalistycznego „Robotnika” przebywał w regionie zagłębiowsko-śląskim. Pamietał też fakt, że z tych połaci ziemi rekrutowali się działacze ruchu strzeleckiego, a następnie młodzi legioniści. Następnego dnia na bankiecie wydanym na cześć pierwszego wojewody górnośląskiego Józefa Rymera

wypowiedział następujące słowa:

> Przybyłem wzruszony do was, tak, jak każdy Polak, który przekracza dawną granicę, która tak niedawno jeszcze była przekleństwem naszego życia. Ludzie jednej mowy, jednej wiary, jednych obyczajów, wąskim pasem ziemi lub strumykiem oddzieleni zostali jedni od drugiego, zmuszeni żyć różnym życiem, przystosowywać się do innych mów, innych wiar, innych zwyczajów. Te paski ziemi były w naszym życiu wiecznie krwawiącą raną, nie dającą się zabliźnić. Teraz granice te z tragedii zmieniły się w naszą radość – klęska przeobraziła się w tryumf.
>
> Jeżeli zaś wszystkie granice, dzielnice tak niedawno jeszcze Polskę, w chwili gdy się je przebywało, zmuszały do wzruszeń, to ta, którą świeżo przekroczyłem, wznieca wzruszenie większe i trwalsze, niż wszystkie inne. Najśmielsze marzenia bowiem zatrzymywały się przed nią, jak przed murem nieprzebytym, sny nawet nie mogły się ostać wobec – zdawałoby się – oczywistej niemożności. Gdy inne granice były świeże i istniały od jednego wieku zaledwie, ta istniała od dziesiątków i dziesiątków pokoleń, które żyły i umierały z tym przekonaniem, że jest ona trwałą, niezłomną. Poczucie więc radości i tryumfu jest tym większe i żywsze

> Przybywając do was odniosłem specjalne wrażenie na tej ziemi, na której związane zostały sprzeczności tak wielkie, jak żadne spotykane gdzie indziej. Obok lasów ogromnych, przypominających mi pustkowia kresów wschodnich – olbrzymie wytwórnie z dymiącymi kominami, obok pierwotnych dzieł Stwórcy – owoc wysiłków wielu tysięcy mózgów i milionów rąk ludzkich, obok prostoty wiejskiego zacisza i leśnych pustkowi – skomplikowane życie nowoczesnego wielkiego przemysłu z jego ustawicznym ruchem i szumem, obok przepięknej staropolskiej mowy – wieża Babel obcych języków.
>
> Ten dziwny z szmat ziemi zwie się Śląskiem i żył tak długo, i z tak ogromna pełnia życia odrębnego, często zapomniany przez resztę Polski. Wobec tego zespolenie naszego życia jest największym cudem pośród wszystkich w ostatnich latach, największym tryumfem spośród naszych tryumfów.
>
> (PZ.V,275-276)

W dalszych wywodach mówca nie krył bynajmniej piętrzących się trudności w procesie formowania normalnego życia narodu. Podkreślał, że doskonale zna niedole ludzi, którzy na swych barkach niosą ciężary i niedostatki materialne rzeczywistości powojennej. Wskazywał, że należy wzmóc wysiłki, aby je

zniwelować, a także wyzyskać siły moralne mające wyposażyć polskie społeczeństwo w wiarę w siebie. Polemizował z obiegowymi plotkami głoszącymi kasandryczne wieści jakoby Polska była tworem przejściowym, sezonowym i niebawem zniknie z mapy Europy na skutek własnej niewydolności. Argumentował, ze przez ostatnie cztery lata polskie państwo

> zwycięsko wyszło ze wszystkich prób, przełamując tyle przeszkód postawionych na drodze jej rozwoju". (PZ.V,277).

Sygnalizował dobry rozwój rolnictwa i transportu, ograniczenie bezrobocia, umocnienie armii. Wskazywał, że jest wiele do zrobienia w skali międzynarodowej. Europa próbuje przyzwyczajać się do nowych form życia w nowych granicach. Wchodzi na nowe tory i musi wyrzec się starych nawyków oraz przyzwyczajeń. Konieczne są zmiany w sferze życia gospodarczego i prawno-kulturalnego.

Na koniec mówił, przechodząc z tonu rzeczowego i perswazyjnego w tonację podniosłą i emocjonalną:

> Moi panowie, wiecie przecież wszyscy, z doświadczenia własnego, że gdy nowe stadło się kojarzy, musi przyjść okres, w którym charaktery wzajemnie się dostosowują,

> nabyte w ciągu poprzedniego życia przyzwyczajenia wzajemnie się naginają, zanim się ostatecznie osiągnie możność zrozumienia się. Proces taki tym szybszym jest i łatwiejszym, im więcej pomiędzy dwojgiem ludzi jest szczerego uczucia miłości.
>
> Moi panowie! Pozwólcie mi być w tym początku wspólnego życia Polski ze Śląskiem możliwie wielkim optymistą, gdyż wiem, że jak długa i szeroka jest Polska, nie ma toastu, któryby spełnić można z większym uczuciem miłości, jak toast, który wznoszę, wołając w imieniu Polski: niech żyje Śląsk!
>
> (PZ.V, 278)

Jak widać Piłsudski – legitymizując się talentem pisarskim jako autor *Bibuły* i głośnej książki *Moje pierwsze boje* – był wyjątkowo sprawnym oratorem budującym swój wywód na nie schematyczych frazach językowych, zasadnych porównaniach i odkrywczej metaforyce. Posiadał świadomość tego, że siłę perswazyjną ma zarówno logiczna i racjonalna jak i emocjonalna tkanka wypowiedzi. Zwracając się do słuchaczy, akcentował to , że ziemia śląska staje się mu osobiście bliska, gdyż miejscami (lasy i łąki między regionami przemysłowymi) przypominają mu jego najbliższą ojczyznę – Litwę i kresy wschodnie. Podnosił

rangę i urodę języka miejscowej ludności. Traktował tę „przepiękną staropolską mowę" (PZ.V.276). jako największy skarb, który przez stulecia bronił i nadal broni swojej tożsamości pośród wieży Babel obcych języków. Mówiąc o pracy ludzi tej ziemi, akcentował jej twórczy charakter. Podnosił twórczy wysiłek, nie tylko rąk – ale przede wszystkim – „wielu tysięcy mózgów".

Wpatrując się w monumentalne dzieło Mestrovicia, zdobiące i nobilitujące skwer przy ulicy Jagiellońskiej w Katowicach, mamy świadomość, że Piłsudski odziany w szary mundur, w szarej maciejówce najtrafniej symbolizuje ogólnonarodowy czyn niepodległościowy. Jest widocznym znakiem tego, że Brygadier czy Komendant fundował ruch irredenty, nie na „karmazynach i purpuratach", lecz na patriotycznym żywiole ludowym wywodzącym się właściwie z wszystkich zaborów. Szary mundur nie tylko symbolizuje ofiarność legionistów zmierzających z krakowskich Oleandrów przez Miechów do Kielc, ale także szare odzienia innych żołnierzy polskich: uczestników trzech kolejnych powstań śląskich, których nie stać było na złocenia, błyskotki, barwne lampasy.

Świadomość związku z dziełem Piłsudskiego na Śląsku była żywa. Dość przywołać jeden tylkofakt, spośród wielu. Oto w czasie III powstania uformowany został KATOWICKI PUŁK POWSTAŃCZY IMIENIA JÓZEFA PIŁSUDSKIEGO, skutecznie

działający w maju 1921 roku w rozmaitych strukturach organizacyjnych ówczesnych sił zbrojnych. Ten „śląski" charakter pomnika stanie się jeszcze bardziej wyrazisty wówczas, gdy monument zostanie „skompletowany". Wówczas wokół postaci Piłsudskiego pojawią się postacie alegoryczne jako elementy składowe całości. W ich symbolice pojawi się przesłanie: Śląsk wierny Macierzy – Polsce.

Nieopodal pomnika Piłsudskiego w Katowicach, na skraju Placu Sejmu Śląskiego wmurowany był kamień węgielny pod pomnik Wojciecha Korfantego, ofiarnego bojownika o polskość Śląska. Ten symboliczny kamień węgielny rychło przekształcił się w monument. Piłsudski i Korfanty uchodzili za oponentów politycznych. Jeden i drugi jednak wniósł wielki wkład w proces formowania się Drugiej Rzeczpospolitej Polskiej. Podobnie jak wielu innych: Wincenty Witos, Ignacy Daszyński, Roman Dmowski, Ignacy Paderewski, Gabriel Narutowicz, Stanisław Wojciechowski. Tułacze szlaki naszych rodaków do wyzwolonej ojczyzny wiodły z rozmaitych kierunków i kształtowane były przez rozmaite osobowości. Po wielu dziesięcioleciach dawne spory polityczne przybladły. Dziś wiadomo, że Niepodległa Polska wyrosła z krwi, walki i pracy nie tylko wybitnych przywódców ruchu irredentystycznego, ale całego narodu. Postać Piłsudskiego świeci jednak szczególnym blaskiem.

W niniejszym szkicu zastosowano następujące skróty: J. Piłsudski: *Pisma zbiorowe,* Warszawa 1937=PZB. Cyfra rzymska po skrócie oznacza tom, arabska-stronę przywoływanego tomu.

Szacunek dla historii

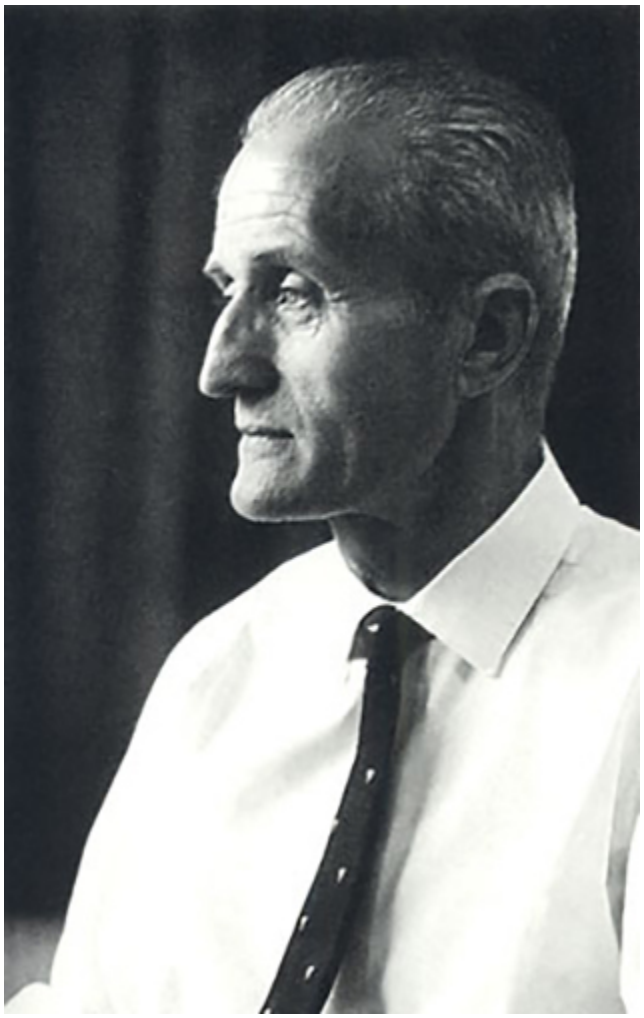


Józef Garliński z żoną Eileen, Londyn, lata 70. XX w., fot. Biblioteka Uniwersytecka KUL.

Florian Śmieja *(Mississauga, Kanada)*

Historyk Józef Garliński (1913-2005) bezustannie przypominał Anglosasom o polskim wkładzie w II wojnę światową. Dopominał się o uznanie zasług Polaków w rozpracowaniu niemieckiej maszyny szyfrowej Enigma, informował o nieznanym aspekcie obozu zagłady Auschwitz wydając książkę "Fighting Auschwitz" o organizowanym przez Polaków ruchu oporu, mającym za zadanie przechwycenie władzy w obozie w odpowiednim momencie.

Gdy zaproszony przez Klub Dyskusyjny do London, Ontario, przylecial z Londynu, lokalna gazeta kanadyjska opublikowała ogromne zdjęcie jego przedramienia z numerem oświęcimskim, wywołując konsternację i wielką dyskusję.



Józef Garliński, fot. Biblioteka Uniwersytecka KUL.

Z czasem Garliński stał się instytucją, po upadku rządów komunistów w Polsce odwiedzał kraj z odczytami. Spotkałem go we Wrocławiu, w Anglii wręczył mi nagrodę literacką w 1991 roku. Długo piastował prezesurę Związku Pisarzy Polskich na

Obczyźnie, był ambitny, ale także ofiarny i pracowity, a do społecznej pracy niewielu się paliło.

Po wielu latach urzędowania zastąpił go prof. Mieczysław Paszkiewicz, poeta i historyk sztuki, ale wkrótce umarł i wtedy jego funkcję objęła poetka i długoletni wydawca Oficyny Poetów i Malarzy, Krystyna Bednarczyk.

***



Bohdan Jan Ejbich

Witałem sagę o polskiej eskadrze myśliwskiej 303 “A Question of Honour” Lynn Olson i Stanley’a Clouda kilka lat temu z entuzjazmem i miło mi, że gościliśmy autorów w Toronto i że ich książka wydana została po polsku. Pamiętam jeszcze, że wystarczyło w owych czasach entuzjazmu dla polskich lotników – noszac polski mundur wojskowy, nie płaciło się za transport publiczny w Anglii.

Tę sławę polskich skrzydeł pomnażał także mieszkający w Toronto, a zmarły w 2013 r. w wieku 97 lat, inż. Bohdan Ejbich. Zapisawszy piękną kartę bojową, 44 loty bombowe, jako kapitan pilot po kilku latach w Anglii przeniósł się do Kanady, gdzie dał się poznać jako wiarygodny społecznik i autor ośmiu książek opowiadających o przeżyciach własnych, a także kolegów i towarzyszy, m.in. legendarnego płk. Bolesława Orlińskiego.

Bronisław Przyłuski – poeta, dramaturg i człowiek teatru.



Londyn, Grosvenor House

Nina Taylor-Terlecka *(Oxford, Wielka Brytania)*

Wirujące na balu emigracyjnym pary – zafraczeni panowie, tęczowe panie – mogą nie wiedzieć, że w głębinach gmaszyska hotelu *Grosvenor House* w Londynie pracował po wojnie jeden z najsubtelniejszych i ciekawszych poetów polskiej emigracji politycznej.

Mowa o Bronisławie Przyłuskim, zawodowym oficerze Wojska Polskiego, dramaturgu, twórcy radiowym, aktorze. Mieszkając w dzieciństwie w Siemierzu, w Tomaszowie Lubelskim, w Dołędze, w Świątnikach, w Małoszowie (uwiecznionym później w misterium bożenarodzeniowym), od maleńkości oglądał wszelkie wiejskie widowiska: topienie Panny w wiosennej kałuży, wianki i skakanie przez ogień na św. Jana, dożynki i Andrzejki. Znał jasełka grane w kuchni czeladnej na Boże Narodzenie,

kolędników przychodzących z okolicznych wsi z gwiazdą, z turoniem, z szopką, a także „pasję wielkanocną z Piłatem i apostołami, i Judaszem, która co roku grana była na placu przed kościołem”.

Po szkole w Kielcach, Przyłuski uczęszczał do I Korpusa Kadetów we Lwowie, gdzie zdał maturę. Miał w dorobku już dwa tomiki poetyckie – *Badyle* (1932) i *Dalekie łąki* (1935), gdy wojna wybuchła. Jako żołnierz kampanii wrześniowej walczył pod bezpośrednim dowództwem gen. Kmicic-Skrzyńskiego (Brygada Podlaska) w ramach samodzielnej grupy operacyjnej “Polesie” gen. Kleeberga. Walczył pod wsią Dmochy, pod Michałkami, pod Domanowem, w okolicy Kocka i Stoczka, za co otrzymał Krzyż Srebrny orderu Virtuti Militari V klasy. Walczył do kresu, czyli do decyzji gen. Kleeberga o kapitulacji brygady i złożeniu broni w leśniczówce Ofiara (rejon Głowa). Wzięty do niewoli 6 października 1939 r. pod Kockiem, został wywieziony do oflagu VII A w Murnau, w górnej Bawarii.

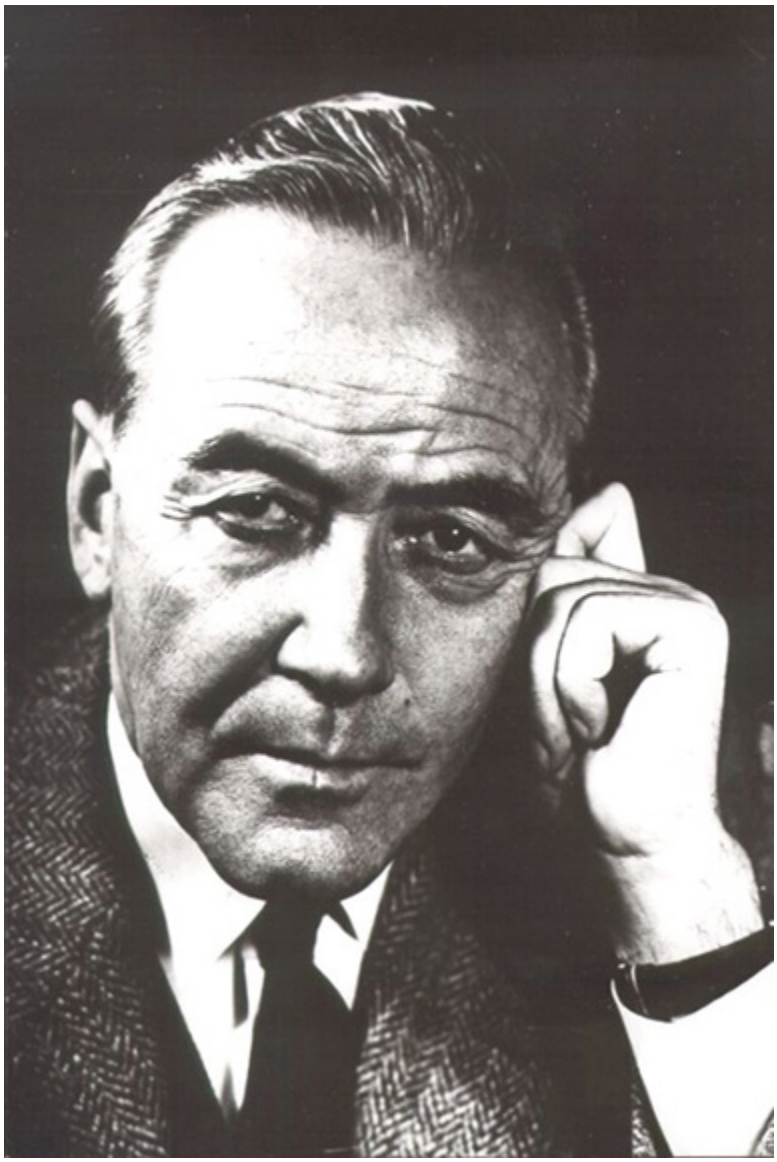
Dzięki świetnemu, niezamierzonemu przez Niemców doborowi współwięźniów, Oflag VII A w Murnau okazał się bogatym tyglem wpływów, bodźców, inspiracji intelektualnych i artystycznych. Żeby bronić się przed załamaniem, jeńcy-oficerowie uprawiali kółka kulturalne, urządzali odczyty, prowadzili teatr amatorski, założyli też pismo pod nazwą „Teatr Obozów”. W takich warunkach Przyłuski znów porwał za pióro: dostarczał część do

libretta operetkowego *Najukochańsza żona maharadży,* w której to operetce sam też grał, pisał rewie (*Sen*, *I to minie*) i skecze do widowisk muzycznych *Kapryśna Afrodyte* oraz *Kochaj i tańcz*. Przerabiał, parafrazował, dopasowywał do możliwości scenicznych obozu *Ptaki* Arystofanesa, *Kłopoty Babuni* Bolesława Prusa i komedyjkę P. G. Wodehouse'a *Panna czy rozwódka*.

Również spontanicznie, jak gdyby na wezwanie losu, został aktorem. Pierwsze kroki estradowe postawił najpierw w rewiach, potem w tzw. żelaznym repertuarze. Występował w *Zaczarowanym Kole* Lucjana Rydla, w fredrowskim *Gwałtu, co się dzieje!* i w *Domu otwartym* Bałuckiego. Ale jednocześnie nurtowały go inne, szeroko zakrojone, wątki i tematy. Gdy Leon Schiller pojawił się w Oflagu VII A (było to po upadku Powstania Warszawskiego), Przyłuski z kolegami wzięli legendarnego reżysera na garnuszek, gotując mu na knotach łojowych – jak poeta później wspominał – zepsute kartofle niemieckie z amerykańskim *beefem* i polską wędzonką. Przy tym ostro dyskutowano o sztuce. Schiller wkrótce włączył się do życia artystycznego obozu i właśnie prowadził próby dramatu poetyckiego Przyłuskiego p.t. *Hiob*, kiedy armia amerykańska wyzwoliła oboz (29. IV. 1945).

Pobyt w Murnau zaraził Bronisława Przyłuskiego bakcylem teatru na zawsze. Nie zniechęcił go ponury klimat powojennej Anglii, dokąd przybył w 1946 r. jako *dipis*. Pewnie jako

mieszkaniec dziurawej beczki w obozie pod Leominster uważał, że teatr stanowi jedyną odtrutkę na nieustający kapuśniaczek i wszechogólną anglosaską szarzyznę. Na przekór wykorzenieniu i pogodzie szlifował stare wiersze, pisywał też nowe, urządzał spektakle, pochody, obchody i akademie, współinicjował parę inscenizacji. Gdy na wiosnę 1949 r. zwolnił się z wojska, pojechał do Londynu z myślą o pracy w teatrze emigracyjnym.



Bronisław Przyłuski, fot. Biblioteka Uniwersytetu im. Mikołaja Kopernika w Toruniu.

Były to waleczne i bohaterskie lata polskiego teatru na obczyźnie, teatru – tak jak niegdyś teatr Wojciecha Bogusławskiego – wędrownego. Za 4 funty tygodniowo trzeba było wszystko umieć – nie tylko rolę. Jak pisze w szkicu autobiograficznym:

> Rzemiennym dyszlem ruszyliśmy na Anglię. Sami budowaliśmy scenę, nosiliśmy dekoracje, przebieraliśmy się i wreszcie gralismy. Po przedstawieniu rozcharakteryzowanie się, przebieranie, rozbiórka sceny i ładowanie na wóz. Coś przełknąć i jazda dalej. Niektóre przeloty mieliśmy po 200 mil. Odwiedzaliśmy zapadłe kąty, gdzie w beczkach gnieździli się Polacy dumni, że do nich przyjechał teatr. Grywaliśmy na scenach ze stołów, to znów na betonie hangarów. Dekoracje trzymały się na słowo honoru na drutach jak na pajęczynie. Dachy ciekły, światło gasło, a myśmy grali.

Dopóki grywano farsę i lekką komedię, publiczność dopisywała. Sytuacja się popsuła, kiedy zechciano przystąpić do ambitniejszego repertuaru. Właśnie na przedstawieniu składanki Słowackiego pt. *Listy do Matki*

> ...wywróciliśmy się gruntownie. Kasy mieliśmy coraz

> mniejsze. Obozy zawiodły zupełnie, wysyłały właściwie tylko delegacje. Pamiętam jeden obóz liczący 1000 mundurów, w którym ilość osób na widowni była mniejsza od ilości aktorów. Potem jeszcze jedna sztuka i jeszcze jedna i trzeba było myśleć o innym zajęciu.

W tych wczesnych latach powojennych Przyłuski grał w *Kwaterze nad Adriatykiem* Napoleona Sądka w reżyserii Leopolda Kielanowskiego, wcielił sie w Hrabiego D'Albafiorita w *Oberżystce* Carla Goldoniego. Celował w rolach amantów. Ale jeżdżąc zepsutym wozem Tespisa, nie rozstawał się z twórczością. Zaczynał pisać tym razem rzecz na scenę: *Pastorałkę* (w *Pastorałce* Schillerowskiej grał już w pierwszym „sezonie" w Murnau). Rozjazdy i spektakle rozpraszały go, wybrał więc pisanie. Na rzecz poezji Przyłuski niejednokrotnie zrzekał się pracy zarobkowej i żył z oszczędności żeby móc tworzyć w słowie, wracał do zarobkowania dopiero gdy sakiewka świeciła pustkami.

W ten sposób pewnego głodem grożącego dnia trafił jako tragarz do lochów pod gmaszyskiem hotelowym *Grosvenor House*. Tam wylądował w zakamarkach, dla eleganckich klientów zazwyczaj niedostępnych.

> I jeszcze w dół, i jeszcze w dół. Fala dusznego smrodliwego

> gorąca objęła mnie jak sirocco. Byliśmy na dnie, na samym dnie, w kuchni. Olbrzymia hala pełna migających ludzi zziajanych, spieszących się i spoconych.

W tych podziemnych połaciach poeta-oficer-zubożały szlachcic herbu Lubicz czyścił ruszty, mył kotły i zlewy, szorował posadzki.

> Zwłaszcza szorowanie między rozpalonymi blachami wypija z człowieka resztki sił. [..] Jedyny odpoczynek to obieranie chłodnych kartofli. Toteż przy kartoflach zawsze był ścisk. Siadaliśmy w krąg w kartoflarni i moczyliśmy rozpalone ręce w chłodnej wodzie za każdym gotowym kartoflem.

Było jednak lżej po awansowaniu na pracę w lodowni. Mroźne to piekło przedstawiało – jak na powojenną Anglię, wciąż jeszcze na kartki żywnościowe – krainę z bajki, pyszną martwą naturę nie dla wszystkich zapowiadającą ucztę Lukullusa.

> Codziennie przychodziły kosze z dziczyzną i kurami; 3000 kur, pardwy, bażanty, gęsi, kaczki, cietrzewie, głuszce (głuszce wyglądały jak orły, ze złożonymi skrzydłami, z dziobami krzywymi jak haki – wielkie, ciężkie, półroczne ptaszyska spały u mnie na półkach między kurami obdartymi

> z piór i gotowymi w każdej chwili do garnka. [..] Poza tym bloki masła, sera, połcie boczku, płaty łososia, pstrągi, homary, raki...

Bieganie na każde wołanie zupiarzy, sosiarzy i pieczeniarzy, popychanie wózków załadowanych bananami, grejpfrutami i mrożonymi truskawkami, nie przeszkadzało w wykoncypowaniu nowych wierszy, przeszkadzało tylko w zapisywaniu i szlifowaniu. Przyłuski znowu porzucił pracę zarobkową, a po wyczerpaniu kasy, wrócił do harówki fizycznej, tym razem w kolejce podziemnej przy stacyjce *Willesden Green*. Tam, niepomne na huk i turkot żelastwa, wiersze mu wytryskiwały spod kół wagonów, zza zatrzaskanych drzwi wind, rodziły się pomysły zuchwałe, wręcz monumentalne.



Londyn, okolice stacji Willesden Green, stara pocztówka.

Pod tym względem zatrudnienie w szpitalu psychiatrycznym *Mabledon Park* stanowiło nienajgorsze rozwiązanie. Zaspakajało wymagania warsztatowe, zapewniało *minimum vital*. Leczenie nerwowo chorych polegało m. in. na ich uczestnictwie w imprezach kulturalnych. Jako świetlicowy Przyłuski organizował odczyty, zapraszał artystów, poprowadzał teatr amatorski. Wkrótce doszło do prapremiery jego *Pastorałki Małoszowskiej*, wyreżyserowanej przez niego, z udziałem jego podopiecznych szpitalnych. W ocenie recenzenta, który zapamiętał to przedstawienie do końca życia, utwór został ujęty

> jako rudymentarne widowisko wiejskie, odgrywane przez kolędników i szopkarzy dla wiejskiej publiczności, (…)

> prymityw ludowy zobaczony oczami, ogarnięty uczulonym słuchem poety, oświetlony światłem tęsknoty, wzruszenia i zachwytu.

Pastorałka Małoszowska nie opierała się wyłącznie na wspomianej tradycji z lat dziecinnych. Przefiltrowana przez soczewkę przeżyć wojennych, wizja wigilijna Przyłuskiego była odarta z nadleciałości literackich figli, z scenek rodzajowych, z postaci utrwalonych w szopce krakowskiej czy w *Betlejem* Rydlowskim. Zwłaszcza postać Heroda nabiera realizmu i aktualności politycznej, a Śmierć występuje jako kronikarka-oskarżycielka, gdy przemawia do ludobójcy:

> Pamiętasz miasta spalone,
>
> Pamiętasz spalone wsie?
>
> Zboże kulamiś siekł
>
> I płomieniamiś płonął.

Pośród popularnych kolęd pastorałkowych, przeplatających się z łacińskimi tekstami liturgicznymi, doniośle brzmiała przepowiednia, składająca się na pacierz ówczesnego emigranta,

że Nowo Narodzony

> podniesie chorągiew między narodami
>
> I zgromadzi wygnańców
>
> I rozproszonych zbierze
>
> Od czterech stron świata.

Spełnienia tej modlitwy Bronisław Przyłuski nie doczekał się. Chory na astmę umarł nagle 11 kwietnia 1980 r. Za to w stulecie urodzin doczekał się pełnego zbioru wierszy pod redakcją Justyny Chlap-Nowakowej, ze wstępem Anny Frajlich (wyd. ARCANA).

Tymczasem – jadąc kolejką podziemną przez stację *Willesden Green* lub popijając herbatę pod żyrandolami *Grosvenor House*, warto sobie uświadomić że właśnie tam i w podobnych lokalach znajdują się katakumby polskiej poezji emigracyjnej.

100-lecie odrodzonej Wszechnicy Wileńskiej



Wilno, widok na kościół Bernardynów, fot. R. Mieczkowski.

Romuald Mieczkowski *(Wilno)*

Rok 2019 bogaty jest w rocznice, wspomnę tylko o tych ogólnopaństwowych – historycznych i kulturalnych. Jak ogłosił Sejm Litewski, będzie to m.in. Rok **Juozasa Naujalisa** – z okazji 150-lecia urodzin kompozytora, pisarza **Juozasa Tumasa-Vaižgantasa** (też 150-lecie), Rok Misji Jezuitów na Litwie – mija 450. rocznica, dzięki czemu pozyskaliśmy Akademię Wileńską, związana z Polską; Rokiem Żmudzi i nawet Rokiem Lokalnych Nazw – jakiż do wdzięczny temat do twórczych obchodów!

Do tych dat dodam jeszcze jedną, może skromną, lecz – chciałbym mieć taką nadzieję – ważną dla naszego środowiska: w tym roku mija 30 lat od ukazania się numeru 1 dwutygodnika, a potem **kwartalnika „Znad Wili”**, czasopisma postrzeganego też jako pewnego rodzaju zjawisko interdyscyplinarne, pomysłodawcy wielu inicjatyw, w tym spotkań poetyckich „Maj nad Wilią”.

W Polsce jest to m.in. **Rok Gustawa Herlinga-Grudzińskiego** (100-lecie urodzin), **Stanisława Moniuszki** (200-lecie urodzin), Unii Lubelskiej (450 lat), a także pianistki **Marii Szymanowskiej** oraz kompozytorki i skrzypaczki **Grażyny Bacewicz**. Niektóre wydarzenia na szerszą skalę, w wymiarze polsko-litewskim, jak uczczenie „okrągłej” rocznicy urodzin Moniuszki, już są obchodzone bądź hucznie zapowiadane –

głównie z inicjatywy strony polskiej odbędą się koncerty, wystawy, konferencje i sympozja, odpowiednio swoje nagłośnienie ma rocznica unii w Lublinie, władze którego chcą współpracować ściślej ze stroną litewską.



Wilno, fot. R. Mieczkowski.

Międzynarodowy Festiwal Poezji „Maj nad Wilią” ma tę osobliwość, że staramy się brać na wokandę tematy, będące trochę na uboczu, nieobchodzone nagminnie, preferując ich charakter nie tyle lokalny, co dotykający naszej Ziemi. To nie oznacza, że nie nawiązujemy do innych dat i wydarzeń. Wiele ich

w tym roku nawiązuje wciąż do 100-lecia odzyskania niepodległości w naszych krajach i tutaj zdziwiło mnie to, że milczeniem pominięta została setna rocznica odrodzenia **Wszechnicy Wileńskiej** (a ta data koresponduje z 440-rocznicą jej założenia), z imieniem Stefana Batorego, zasłużonego monarchy dla Wilna i jego akademii jezuickiej.

Jest to materia dość delikatna, zważywszy, że sto lat temu, w kwietniu 1919 roku okupowane przez bolszewików Wilno przeszło w polskie ręce. Nie wdając się w dyskusje historyczne, a tylko nazywając fakty po imieniu, nie można tak ważnej daty odrodzenia **Alma Mater Vilnensis** pominąć milczeniem, jeśli chodzi o okres międzywojenny. USB ma ogromne zasługi nie tylko dla miasta Wilna, dla Polski i Litwy, ale też dla regionu. To nie tylko bardzo aktywna placówka naukowa, ale i kulturalna. Tu pod kierunkiem prof. **Ferdynanda Ruszczyca** wykształciła się cała plejada wybitnych artystów malarzy, tu działała mocna kuźnia talentów literackich – nie da się wyobrazić sobie bez uniwersytetu „Żagarów" i Śród Literackich, soczystej publicystyki w prasie wileńskiej tamtego okresu. Nie sposób przy tej okazji nie wspomnieć **Czesława Miłosza**, wspaniałych polonistów i filologów **Stanisława Pigonia**, **Stefana Srebrnego**. W murach uczelni kształcił się przyszły największy historyk i specjalista prawa Wielkiego Księstwa Litewskiego – prof. **Juliusz Bardach**.

Była to placówka, w której kształcili się Litwini, zaś fakt ten pozostaje mało znany. Tutaj dyplomy zdobywali absolwenci pochodzenia żydowskiego, mocne korporacje mieli Białorusini oraz przedstawiciele innych narodowości.

I o tym chcielibyśmy mówić podczas konferencji na Uniwersytecie Wileńskim, w innych miejscach. Mam nadzieję, uda się nawiązać kontakt z Uniwersytetem Mikołaja Kopernika w Toruniu, który w dużym stopniu powstał na bazie Uniwersytetu im. Stefana Batorego. Z dalekiej Australii przybędzie poetka i publicystka **Bogumiła Żongołłowicz**, która będzie mówiła o swym wileńskim krewnym, **ks. Bronisławie Żongołłowiczu**, urodzonym w Datnowie, od 1919 roku profesorze prawa kanonicznego Uniwersytetu im. Stefana Batorego, a w latach 1930-1936 wiceministrze wyznań religijnych i oświecenia publicznego, pośle na Sejm RP. Zainteresowaniem zapewne będzie się cieszyć wykład **Tomasza Kuby Kozłowskiego** z Domu Spotkań z Historią w Warszawie o przedwojennej poligrafii wileńskiej (najlepiej razem z wystawą *Wilno w papier zaklęte. Poezja i typografia nad Wilią*).



Wilno, Zaułek Miłosierny, fot. R. Mieczkowski.



Wilno, fot. R. Mieczkowski.

Podczas festiwalu odbędzie się promocja wielu ciekawych książek, w tym albumu: *Zapomniane uczelnie Rzeczypospolitej. Kroże – Krzemieniec – Podoliniec*. Tradycja szkół jezuickich w dawnej Rzeczypospolitej sięga XVI stulecia – i nawiążemy do jej 450-lecia. Wśród takich placówek w wielu miejscowościach Wielkiego Ksiestwa Litewskiego wyróżnia się też Kolegium w Krożach, którego kadra wywodziła się w znacznej mierze z uczeni wileńskiej. Prezentacji albumu dokona autor opracowania, d**r Jan Skłodowski**, który napisał:

> Kroże na Żmudzi, Krzemieniec na Wołyniu i Podoliniec na

> Spiszu – to trzy odległe od siebie miasta, położone dziś w granicach różnych państw – Litwy, Ukrainy i Słowacji. Niegdyś odegrały ważną rolę nie tylko w dziejach Rzeczypospolitej, lecz także całej Europy, jako ważne ośrodki edukacyjne i kulturotwórcze, do których zjeżdżali zarówno uczniowie chętni do zdobycia dobrego wykształcenia, jak i wykładowcy z różnych krajów europejskich. Dzięki temu tak miasta, jak i ich szkoły porównywane były do kolebki oświaty – Aten lub do szacownych uczelni o wielowiekowej tradycji, stąd też przyjęło się nazywać Kroże – Atenami Żmudzkimi, Krzemieniec – Atenami Wołyńskimi, a Podoliniec – Spiskim Oksfordem.

Publikacja wykorzystuje bogaty materiał archiwalny, udostępniony m.in. przez biblioteki – Uniwersytetu Wileńskiego, Litewskiej Akademii Nauk im. Wróblewskich oraz Litewskie Państwowe Archiwum Historyczne w Wilnie (na prośbę Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego w Warszawie).

Przygotowywany program wygląda imponująco i zawiera nowe pozycje, w tym planowane jest odwiedzenie Państwowego Archiwum w Wilnie, placówki unikalnej i wciąż kryjącej w sobie wiele tajemnic. W dniu objazdowym planujemy odwiedzić miejscowości podwileńskie, m.in. Borejkowszyznę, gdzie **Władysław Syrokomla** podejmował **Stanisława Moniuszkę**,

tzw. Republikę Pawłowską.



Wilno, Ostra Brama, fot. R. Mieczkowski.

Spodziewam się, że „geografia” krajów i miast, skąd przybędą nasi goście, będzie i tym razem szeroka, obejmie m.in. Australię, USA, Szwecję, Niemcy. Zapowiedział swój przyjazd **Gregory (Grzegorz) Wróblewski**, który po raz pierwszy na język szwedzki przetłumaczył *Stepy Akermańskie* Adama Mickiewicza.

Jak i w poprzednich latach, odbędzie się kolejna edycja festiwalu filmowego EMiGRA, którą poprowadzi **Agata Lewandowski**. Przybędzie wielu twórców z innych krajów, nie zabraknie artystów sceny i estrady – rozmowy i przygotowania są w toku, jeden potwierdzony – z recitalem *Zegarmistrz Świata Purpurowy* wystąpi **Tadeusz Woźniak**. Potwierdził swój udział znany poeta i prozaik **Tomasz Jastrun**.

XXVI Międzynarodowy Festiwal Poezji „Maj nad Wilią" odbędzie się w dniach 26-30 maja. Program zostanie ogłoszony na naszych stronach, mam nadzieję, upowszechniony zostanie w mediach polskich na Litwie (i nie tylko). Zapraszam serdecznie do udziału.

Londyńskie spotkania po dwóch stronach

oceanu



Stefan Kisielewski, fot. culture.pl

Florian Śmieja *(Mississauga, Kanada)*

Zaraz po wojnie nie łatwo było odwiedzać Anglię. Do pierwszych gości w Londynie należał **Leopold Tyrmand**. Pamiętam jak go przyjmowaliśmy, jako autora głośnego już "Złego", a on popisywał się kolorowymi skarpetkami i buńczucznym oświadczeniem, że ks. kardynał Wyszyński i on byli prawdziwymi przywódcami młodzieży polskiej.

Przyjechał też **Jerzy Zawieyski**, którego pamiętam za strofowanie nas, że krytykujemy społeczeństwo polskie, które przecież żyło w innych warunkach. Zdumiało mnie jego prawie konspiracyjne pytania, czy w Londynie może on po prostu wejść do sklepu i kupić ubranie bez talonu i jakiegoś zezwolenia.

W Londynie często spotykaliśmy się w restauracji i kawiarni Dakowskiego blisko kolejki podziemnej South Kensington, bo była blisko polskich instytucji takich jak Ognisko Polskie, Instytut gen. W. Sikorskiego czy Brampton Oratory. Wspominam picie kawy po wykładach na Polskim Uniwersytecie Na Obczyźnie z **Józefem Bujnowskim**, **Wandą Chruściel**, **Krystyną Cywińską**, **Marią Nowakowską**, **Wojciechem Gniatczyńskim**, **Ferdynandem Goetlem, Zygmuntem Ławrynowiczem** czy **Napoleonem Sądkiem**, żeby wymienić kilka nazwisk. Goetel relacjonował rozmowę na granicy, kiedy wyjechał z Polski. Nie pamiętam, czy chodziło o wizę holenderską czy paszport. Dość, że celnik na granicy oddał mu paszport ze słowami: n*o, to leć pan, latający Holendrze.*

Ze **Stefanem Kisielewskim** mówiłem o muzyce. Byłem ciekaw, kogo widział na polskim firmamencie jako najjaśniejszą gwiazdę wśród młodych kompozytorów. Wymienił **Henryka Mikołaja Góreckiego**. Wtedy było to dla mnie nowe nazwisko, ale niedługo później jego trzecia symfonia pieśni żałosnych podbiła świat. Kiedy na początku któregoś grudnia znajdowałem się w

kalifornijskim Palm Springs, lokalne amerykańskie radio nadało Góreckiemu życzenia urodzinowe i emitowało jego sławną symfonię, w której Amerykanka Dawn Upshaw piękną gwarą śląską czarowała słuchaczy

Miło mi było, że współczesny Polak cieszył się takim mirem i natychmiast pchnąłem do niego list z dobrą wiadomością.

***

Potem odwiedzałem **Stefana Kisielewskiego**w Warszawie. Gościlem go też w ontaryjskim London po przeprowadzce za Atlantyk.

Pracując na uniwersytecie Western, zaprowadziłem Kisiela na wydział muzykologii. Tam, nie znający angielskiego gość, w języku niemieckim przemówił do nauczycieli akademickich. Jeden z nich, rodem z Austrii, skwapliwie tłumaczył jego słowa kolegom. Niemniej wnet mina mu zrzedła, kiedy na zapytanie o socjalizm, Kisiel bez ogródek nazwał go ustawiczną improwizacją.

Wolontariusz bardzo się napocił, by złagodzić ostre wypowiedzi gościa zza Żelaznej Kurtyny, używał bardzo dowolnego tłumaczenia i uciekał się do naróżniejszych eufemizmów, by przedstawiany obraz nie pogrążał oczekiwań naiwnych fanów

utopii.

W London Kisielewski w pułkowniku **Czesławie Czajkowskim** rozpoznał swojego dowódcę z września 1939 roku, którego wspomina w swojej powieści “Sprzysiężenie”. Później z Warszawy pisaliśmy wspólnie do niego pocztówkę, na której Kisiel meldował się jako dawny podchorąży.

Stefan Kisielewski:

https://www.cultureave.com/kasztan-kisiela/

Henryk Mikołaj Górecki:

https://www.cultureave.com/otrzymany-czas-musisz-godnie-przezyc-henryk-mikolaj-gorecki-1933-2010_/

Pułapka Odysa. Wspomnienie o Zygmuncie Ławrynowiczu (1925-1987).



Mozaika przedstawiająca Odysa z eposu Homera, Muzeum Bardo, Tunis.

Florian Śmieja *(Mississauga, Kanada)*

Kiedy Zygmunt Ławrynowicz przyniósł mi do druku w „Kontynentach” w 1963 roku swoje rozważania nazwane „Odys w pułapce”, nie przewidział, że użył pochopnie tytułu, że w przyszłości sam znajdzie się w sytuacji aż proszącej się o takie właśnie nazwanie.

Bo jego „Odys w pułapce” traktował głównie o pisaniu w diasporze, o znaczącej twórczości literackiej na emigracji. Chodziło o sens działalności na obczyźnie nie tylko pisarzy, którzy z Polski wyjechali już ukształtowani i pragnęli kontynuować swój fach, ale także o młodych, nie pamiętających swojej ojczyzny, a nawet douczających się języka za granicą, którzy też mieli ambicję pisać po polsku i potykać się w sztafecie twórców.

Te zagadnienia Ławrynowicz poruszył posługując się wypowiedziami Miłosza i Łobodowskiego. Obaj bowiem twierdzili, że twórczość w języku ojczystym jest możliwa gdziekolwiek, że nie jest ważny kraj zamieszkania piszącego.

Łobodowski przywołał wtedy losy ukraińskiego poety Małyniuka mieszkającego w Nowym Jorku. Komentował:

> Potencjalnie każdy człowiek jest w stanie zdobyć się na przezwyciężenie swego losu. Każdy człowiek, więc tym bardziej, artysta.

Ławrynowicz rozróżniał tzw. dolę ludzką, sytuację człowieka w świecie, od sytuacji pisarza, który w oderwaniu od macierzy, usiłuje kontynuować ambitną twórczość literacką. Aktywność poety Małyniuka była dla niego

> rozpaczliwym krzykiem Odysa, który wie, że nie dopłynie do Itaki i musi umrzeć na obcym brzegu z braku powietrza.

Na emigracji widział tylko pozory działalności.

> Literatura postuluje autora, krytyka i odbiorcę, innymi słowy, potrzebne jest jej żywe zaplecze rozwijającego się narodu, aby mogła w pełni zaistnieć. I musi to być twórczość dojrzała, bez taryfy ulgowej. Opiekuńczość prowadzi do mumifikacji, a więc do klęski duchowej.

Przewrót w literaturze, w poezji dokona się gdzie indziej, tu szelest papieru, w kraju oblicze poezji ukształtowali młodzi.

Emigracji wróżył:

> Z małymi wyjątkami będzie to przykładem heroicznego grafomaństwa, poezja odcięta od swoich źródeł.

Powieści właściwej nie będzie. Ławrynowicz, podobnie jak wcześniej Darowski, nie wróżył żadnej przyszłości polskiej powieści na emigracji. Dowodził, że środowisko uchodźcze od środowiska tubylczego dzieli szklana ściana. Nie przenikają się wzajemnie. Uchodźcy, podobnie jak turyści, skazani są na wieczne oglądanie fasady. Nie dla nich są kulisy życia lokalnego.

Przyjrzawszy się doświadczeniom innych, Ławrynowicz konkludował:

> Jest moim głębokim przekonaniem, że partycypować w twórczym życiu ludzkości za pośrednictwem słowa pisanego możemy tylko poprzez twórczy udział w życiu własnego narodu.

Młodym emigracyjnym pisarzom wskazuje jedynie okrojone możliwości. Nie dla nich lwia część literatury. Mogą próbować eseistyki, krytyki, przekładów. I widzi ich jak alpinistów, którzy

w porywie młodego entuzjazmu bez oglądania się na trudności „wdarli się na skalną ścianę i utknęli w połowie”. Nie mają odwrotu, zaczynają rozumieć ogrom trudu potrzebny do pokonania tej góry. Nie wszyscy dojdą do szczytu. Ławrynowicz, sam zapalony alpinista, pisze dwuznacznie o ewentualnym zwycięstwie, o gorzkiej, bezużytecznej i nieprzydatnej wiktorii. Tacy śmiałkowie pocieszają się poczuciem, że od miernoty ocalili własne dusze.

W liście z 1972 roku, kiedy już byłem w Kanadzie, informował o innych kolegach z naszej grupy. O Czaykowskim wspominał:

> Niestety woda sodowa zrobiła swoje. Przed paru laty był w Londynie i łaskawie spotkał się ze mną w knajpie. Sztywny i nadęty dał mi do zrozumienia, że o ile kiedyś byliśmy kolegami i pracowaliśmy wspólnie, to teraz wszystko już jest inaczej i „każdy sobie” jak się wyraził. Pożegnałem go bez żalu.

Z kolei Czaykowski w opublikowanym liście do Marii Danilewicz Zielińskiej bardzo na Ławrynowicza wybrzydzał nazywając biadanie nad niemożliwością powieści na emigracji „impotentnym artykulasem”, a jego autora „rudą goryczą”, ciesząc się równocześnie, że „Kontynenty” pod moją redakcją się nie rozkręciły. „Nawet biskup Śmieja nie potrafi uczynić z nimi

cudu”.

Dodam, że tylko kilkakrotnie odwiedziłem Czaykowskiego w Kanadzie z powodu odległości do Vancouver. Z czasem jednak te rzadkie „wizytacje biskupie” spotykały się ze stygnącą zachętą do nich, a nawet Busza też już nie znajdował czasu na spotkanie. Kiedy natomiast Czaykowski przybył do Toronto na fundowany wykład, był zaskoczony moją obecnością wśród szczupłego audytorium.

> Nie wiem, czy czytałeś ostatnią wypowiedź Darowskiego w „Wiadomościach” informował dalej Zygmunt – gdzie ubolewa nad naszym ubóstwem kulturalnym i żali się, że w naszym języku, który tyle posiada nieharmonijnych zespołów spółgłoskowych, nie można stworzyć nic godnego uwagi. Są to, jak mnie się wydaje, żale niedouczonego faceta, który zafascynowany bogactwem języka angielskiego zwątpił w polskość… Rozmaici ludzie nagabują mnie, abym zaczął pisać po angielsku, ale na to nie pójdę, bo zbyt jestem związany ze swoim narodem.

I zdarzyło się, że ciskając się wśród niespodzianek niechcianego losu, Ławrynowicz znalazl się na owianej legendą greckiej wyspie Itace. O mitycznej Penelopie nikt już nie wspominał. Była natomiast „wysmukłonoga kobieta o oczach gazeli imieniem

Helga, jasnowłosa pantera”. Powie o niej „ani ty Kirke, Kalypso czy Penelopa, masz własną duszę nieujarzmionej łani”. To greckie spotkanie znalazło dalszy ciąg w Walii. Szczególnie pamiętne były imieniny, które poeta tak zapisał:

> były to imieniny
>
> słodkiej pory życia

I nagle ta odurzająca wspólna radość się skończyła. Nastąpiło niewytłumaczalne milczenie. Niedawne zapewnienia ustały. Słodycz zamieniła się w piołun. Ukochane imię zaczęło budzić żal. Barwne „fatałaszki wspomnień” zastąpiło ciężkie milczenie. A jednak zawiedziony poeta czekał na znak, choćby cios ostateczny. Odeszła ukochana w szpetność snu.

Gdzie indziej, w utworze „I odpuść nam” wyznał

> ozdrów sumienia ślepe, gdy pędząc na oślep za urokliwą kraską doczesnych przywidzeń padamy łatwo łupem zwodniczej syreny.

Dziś możemy jedynie domyślać się pod nieobecność świadectw

czekających na publikację, jakie były koleje życia. Kiedy w 1975 w liście pisał:

> Jadę do Walii Północnej w góry i mam szczery zamiar mocno przebierać nogami od Wielkiej Soboty do końca przyszłego tygodnia. Jeżeli przyjadą młodzi znajomkowie, będę dla nich przewodnikiem,

to ten lakoniczny przekaz był być może preludium do przełomowych wydarzeń w życiu Zygmunta.

Równocześnie z lamentem o epizodzie z Helgą „Trujące jagody”, Ławrynowicz wydał swoje skargi i lamenty w zbiorze „Anglo-Babilon”. Wśród inwektyw i żalów, w sztafarzu turpistycznych elementów napisał otwarcie charakteryzując siebie:

> los obszedł się z tobą
>
> po macoszemu
>
> ani złota ani korony

> nawet tej z liści
>
> jakie czasem zdobią
>
> czoła pieśniarzy
>
> pomazańców ludu
>
> .....
>
> nie dla ciebie dom
>
> w którym kobiece dłonie
>
> porządkują niesforną
>
> grzywę codzienności

Brak docenienia jego poetyki i uciążliwość życia bez towarzyszki, w połączeniu z pracą w znienawidzonym świecie interesów, stworzyły odludka, który dusił się w jadach pułapki, jaką jego samotność sączyła nieustannie.



Zygmunt Ławrynowicz, fot. Biblioteka Uniwersytecka KUL-u.

Komentatorom tekstów poetyckich Ławrynowicza chcę wyjaśnić, że fragment wiersza „Ośmielam się wadzić z Tobą” –

> ośmielam się pytać ciebie Panie –
>
> słowami tego poety z Madrytu
>
> którego głos uwiązł jak cierń w sercu moim –

> dlaczego każesz abym gnił w tym mieście
>
> o wiele większym niż stolica Hiszpanii
>
> dla jakich ogrodów i pod jakie kwiaty
>
> przeznaczyłeś zgniliznę mojej duszy i ciała?

– mówi o poecie hiszpańskim Dámaso Alonso (1898-1990), którego wiersz tu wzmiankowany „De profundis”, przełożyłem i wydrukowałem w „Więzi” 7/8 w 1961 roku.

Modlitwa nie przyniosla Ławrynowiczowi ulgi, nie potrafił szukać ratunku u przyjaciół kompletnie nieświadomych tragicznej sytuacji psychicznej poety. Przesycone retoryką wołania o milionach twarzy i ani jednej przyjaźni potraktowano jako poetycką przesadę. Podobny los spotkał otwarte wyrzuty:

> Zabrakło dla ciebie miejsca
>
> przy pulsującym korycie

> nikt nie pamiętał o tobie
>
> kiedy przydzielano dziewczyny
>
> fotele, nagrody i odznaczenia

Nie potrafił się pogodzić z tak niesprawiedliwie przeznaczonym losem Bo wedle swojej opinii pozostał

> nieznany nikomu
>
> i mało potrzebny

Miał o to żal i w swoich modlitwach nie umiał okazać prawdziwej, skutecznej pokory, nie potrafił zrozumieć, dlaczego

nie otrzymał łaski rozumienia, łaski przyjaźni i miłości, o którą prosił, o piękno prawdy. Na nic zdały się błagania, gdy usiłował „łatać podartą duszę”. Oglądał innych ludzi radzących sobie ze światem, przyjmujących rutyny i inne hańbiące obrzędy.

Tacy ludzie chwalili swój chleb codzienny „z plastyku”.

> Jego świat spokojny
>
> uporządkowany
>
> zbilansowany
>
> ubezpieczony
>
> godny pochwały i emerytury
>
> jest filarem tego innego świata
>
> w którym dzieją się sprawy
>
> o których on nie ma pojęcia

> więc sen ma niezakłócony
>
> i skromne marzenia

Oni nie cierpią na rozterkę jego serca i tęsknotę nie dającą się ukoić, przeczuwającego najgorsze:

> u kresu drogi
>
> głodny
>
> samotny
>
> i nagi
>
> pod niebem milczącym
>
> nad zastygłą ziemią

Dumne odrzucanie codzienności spowodowało utknięcie na nieprzyjaznej ścianie skalnej. Nie doczekał się ratunku, padł ofiarą nieużytego losu. Znalazł się w pułapce bez wyjścia. A żalił

się w jednym z listów

> Z melancholią rozważam, ile to lat przemarnowałem zarabiając pieniądze po to, aby mieć z czego żyć i równocześnie nie mieć czasu ani możliwości, żeby żyć naprawdę.

Nie doczekał spełnienia się gorącej modlitwy:

> proś na kolanach
>
> o łaskę powietrza
>
> w zatęchłych zaułkach
>
> gasnącego wieku
>
> o łaskę miodu
>
> co beczki goryczy
>
> przemienić zdoła

> w ucztę galilejską
>
> pustynie ludzi
>
> w winnice aniołów.

Zygmunt Ławrynowicz *polski poeta emigracyjny, tłumacz poezji i prozy, publicysta i redaktor pism, urodził się na Litwie Kowieńskiej i tam spędził młodość, kończąc gimnazjum w Poniewieżu. W 1943 roku został wywieziony na przymusowe roboty do Niemiec skąd zbiegł przez Jugosławię do Wielkiej Brytanii. Studiował ekonomię i nauki polityczne w University College w Dublinie, a od 1952 roku pracował w banku Loyds w Londynie. Następnie został redaktorem „Życia akademickiego" (1953-1954). Należał do redakcji „Merkuriusza Polskiego", a w latach 1958-59 współredagował „Życie" i współpracował z „Więzią", i „Kontynentami". Był współtwórcą grupy poetyckiej „Kontynenty" (1959-1964). Znał biegle co najmniej osiem języków i dzięki temu znakomicie orientował się w literaturze światowej. Zmarł młodo i nagle w Londynie w 1987 r. (na podst. Wikipedii).*

Woda ledwo się marszczy



Ryszard T. Sawicki *(Namysłów)*

Nim wody rzeki staną się wezbrane, wypływają cicho z niewielkiego źródła. A źródło bije w dolinie, wśród spłaszczonych

wierzchowin poprzecinanych wąwozami o stromych stokach. To źródło rzeki Bug. W pobliżu źródeł Bugu znajduje się też źródło rzeki Seret. Okolica leży na europejskim dziale wodnym, na którym schodzą się dorzecza Wisły, Dniestru i Dniepru. Doliny i wzgórza są przeważnie zalesione, lecz wśród ogromnych, dzikich lasów znaleźć można ogrody zasadzone i utrzymywane przez mieszkańców tych ziem.

Źródło rzeki Bug wytryska w niewielkiej wsi Werchobuż, gdzie w sadach kwitną wiosną drzewa czereśni, a jesienią czerwienieją owoce kaliny. Kwitną dziś tak samo, jak kwitły onegdaj, kiedy okolic nie dotknęła jeszcze zagłada, którą przyniósł wiek dwudziesty. W poprzednich wiekach powstawały i zanikały rozmaite siedziby ludzkie, lecz zagłada wieku dwudziestego miała o wiele większą skalę. Skalę, której nie było równych. Kto przeżył ten okres historii, ten wydarzenia wspomina z trwogą, nawet, jeśli kiedyś dzielnie stawiał czoła przeciwnościom, nie poddawał się złu, lecz z nim walczył. Kto ich nie przeżył, ten słucha opowieści z lękiem, który tym tylko różni się od trwogi, że nawiedza w chwili, gdy zagrożenie minęło, nie czai się w czeluści dzikiej kniei. Jest daleko; rzec by można, że zostało za siedmioma górami, siedmioma lasami. Tam, gdzie rzeka, która znalazła już spokojny bieg, odnawia się teraz w innym czasie, płynie jakby z innego źródła.

Opowieść, której wysłuchałem nie była dla mnie nowa. Była

powtórzeniem tej, którą wcześniej przeczytałem. Ale czym innym jest słuchanie opowieści z ust żyjącego świadka historii, a czym innym odczytywanie z druku lub rękopisu, choćby tekst był napisany przez tę samą osobę. Opowieści o wydarzeniach, które miały miejsce w okolicy, gdzie biją źródła Bugu, wysłuchałem z ust osoby mi bliskiej, starszej ode mnie o kilkadziesiąt lat. Wcześniej czytałem tekst, który spisała, a także mogłem porównać jej opowiadanie z opowiadaniami innych osób, byłem więc przygotowany na to, co usłyszę. Jednak słuchałem i tym razem nie bez lęku, że znów poczuję, jak w świadomość zapadają obrazy, które zapisały się w ułamkach zwierciadła, a jego ułamki, tak samo jak zapisane w nich obrazy, kaleczą i sprawiają ból. I będę musiał, jak bywało przedtem, *wyjąć z oczu bolesne szkło*, o którym czytałem w tomie wojennej poezji. Wolałbym czytać taki na przykład wiersz: *Woda ledwo się marszczy i ledwo oddycha, gładka i równa, wezbrana i cicha*. I jeszcze inaczej: *O Bugu, czystych wód święty krysztale… nie pali twej wody od wierzchu do głębi spiekota w południa zacisze.* Ale powrót do tych starych wierszy sprzed kilku wieków jest trudny, bo to dwudziestowieczna poezja, nie starsza, wypływa pierwsza na powierzchnię świadomości, gdy słucha się opowieści o doświadczeniach współczesnych, żyjących jeszcze, bliskich osób. Takich, jak przyrodnia ciotka mego ojca, Maria.

Ciocia Marysia jest córką pradziadka Józefa, ale ojciec nie nazywał jej ciocią, bo jest starsza od niego tylko o trzy lata.

Pradziadek Józef ożenił się po raz drugi w późnym wieku, a Marysia przyszła na świat, gdy miał sześćdziesiąt trzy lata. W roku 2009 ojciec obchodził dziewięćdziesiąte czwarte, a Maria dziewięćdziesiąte siódme urodziny. Mimo, że jest starsza, cieszy się lepszą pamięcią od ojca. To właśnie ona spędziła najmłodsze lata w pobliżu źródeł Bugu, w leśniczówce swojego ojca, a mego pradziadka.

Nigdy nie byłem w tamtych okolicach. Przekroczyłem wprawdzie kilka razy Bug, ale nie dotarłem do źródeł rzeki. Czytam więc, by sobie rozszerzyć horyzont, *Przewodnik po Galicji* opracowany przez Orłowicza i wydany w 1914 roku. Na stronie 98 i 99 odnajduję opis pasma Woroniaków, czyli wzgórz, które *stanowią północną krawędź wyżyny podolskiej i biegną od Gołogór ku Krzemieńcowi*. Miejscowości takie, jak Biały Kamień, Podkamień, Olesko, Podhorce, Pieniaki i Huta Pieniacka leżą właśnie w pobliżu źródeł Bugu. A także rozległa wieś Gawareczyzna, na skraju której była leśniczówka pradziadka.

Wieś założona została jako osada garncarzy produkujących czarną ceramikę. Przed drugą wojną światową ludność w dalszym ciągu zajmowała się garncarstwem. Na południowym zboczu Woroniaków, nad Bugiem, około pięciu kilometrów na południowy zachód od Gawareczyzny, leży niewielkie miasto Biały Kamień z kościołem fundowanym przez Wiśniowieckich. Na wschód od miasta są ruiny zamku zbudowanego w siedemnastym

wieku przez Jerzego Wiśniowieckiego, a zniszczonego przez Turków i Tatarów. Jerzy Wiśniowiecki podejmował tam Jana Kazimierza podczas królewskiego pochodu na oblężony Zbaraż. Orłowicz podkreśla, że ze zrujnowanych murów i baszty rozciąga się piękny widok. Na północy, po drugiej stronie rozległego lasu, leży wieś Terebieże. W prostej linii na południe, po prawej stronie Bugu, wznosi się Święta Góra, a po drugiej stronie rzeki trzy inne szczyty. Na płaskim szczycie góry wytryska źródło, którego wodzie okoliczni mieszkańcy przypisywali cudowne właściwości. Pradziadek Józef najwidoczniej też wierzył w świętość góry i źródła, bo pracując wytrwale przez kilka lat zbudował z okolicznych kamieni kapliczkę i ustawił w niej małą figurkę Matki Bożej. Do tego miejsca cała rodzina chodziła często na spacery, co zostało uwiecznione na kilku ocalałych fotografiach. Najlepsza z nich przedstawia mężczyznę z długą białą brodą, młodą kobietę i dwójkę dzieci. To Józef, jego druga żona Helena, córka Marysia i syn Czesław.

Marysia, dziś dziewięćdziesięciosiedmioletnia staruszka, wspomina te spacery z rozrzewnieniem, zwłaszcza teraz, gdy do pobliskiego kościoła Jezuitów w Jarosławiu trudno jej dojść bez czyjejś pomocy.

Podczas mojej parodniowej wizyty wspominała nie tylko spacery na Świętą Górę. Długo opowiadała o nocnej wędrówce przez las latem 1918 roku. Miała wtedy pięć lat. Pewnej nocy matka

zbudziła ją i brata, kazała szybko się ubrać, w czym pomagała niania, Rózia. Ubranym, ale zaspanym wciąż dzieciom, rodzice wyjaśnili, że muszą natychmiast udać się w długą i niebezpieczną podróż. Dzieci miały się zachowywać bardzo grzecznie i cicho, zwłaszcza podczas marszu przez las. Matka wzięła ręczny bagaż, ojciec latarkę i laskę, gajowy usadowił na plecach Czesia, a Marysia znalazła się na plecach niani. Po chwili cała szóstka nocnych wędrowników opuściła dom i weszła na leśną ścieżkę. Pięcioletnia Marysia bała się, ale nie płakała. Wpatrywała się w słabe światełko latarki, którą niósł ojciec. Szedł przodem, oświetlał ścieżkę. Światełko żywego ognia migotało zza szybek latarki, raz ginęło za postacią ojca, to znów pojawiało się, a jego pojawienie się dodawało dziecku otuchy. Z głębi lasu dochodziły trzaski łamanych gałęzi, a wędrowcy nie wiedzieli, czy czai się tam zwierz, czy człowiek. Trzaski mieszały się z szelestem igliwia oraz liści rozgniatanych pod stopami idących. Gdyby miała o kilka, może kilkanaście lat więcej, Marysia umiałaby zapewne opisać wierszem te wędrówkę, tak jak umiał jej ojciec. Może byłyby to wiersze podobne do takiego na przykład utworu.

> Co to za dziwne dobiegają głosy,
>
> kiedy nad głową cała puszcza szumi i swych pokoleń opowiada losy.[…]

> Puszcza – to wielka jest natury księga!
>
> Niema – a mówi kto ją duchem pyta
>
> i kto do dziejów i natury sięga,
>
> z niej tylko cząstkę tajemnic odczyta.

Albo inaczej.

> Przez tę ciszę twoją,
>
> zaklinam ciebie,
>
> niech mnie ukoją
>
> twe szumy.

I jeszcze inaczej.

> Idzie noc srebrna, zadumana,
>
> osnuta siecią mgieł pajęczą,

> a przed nią boru czarna ściana
>
> zamykająca świat obręczą.
>
> A przed nią stare szumią drzewa, sosny srebrnieją od księżyca,
>
> ciepły już z dala wiatr zawiewa, pachnie jałowiec i żywica.
>
> Noc wchodzi srebrna w bór wiekowy,
>
> wkoło się jodły modląc chwieją, sosny zielone chylą głowy,
>
> czar tajemniczy idzie knieją.

Tak pisali rozmaici poeci, a ojciec Marysi pisał podobne wiersze o podolskich jarach, o lesie. Ale o tym dowiedzieć się miała dopiero po latach.



Marysia nie pytała dokąd zmierzają. Wyczuwała skupienie i lęk dorosłych, sama też bała się coraz bardziej. Trzymała się kurczowo ramion niani, aż ta musiała czasem delikatnie rozluźnić jej zaciśnięte piąstki. Marsz w niczym nie przypominał spacerów na Świętą Górę, ani innych wędrówek przez las lub dnem jaru. Wędrowali długo, a dzieciom wydawało się, że wędrówka nigdy się nie skończy. Wreszcie doszli do stacji kolejowej w miejscowości Ożydów i wsiedli do pociągu jadącego do Przemyśla, po drugiej stronie Bugu. Było to pierwsze przejście Marysi przez rzekę.

> O Bugu, którego głębiny nie zmierza
>
> ni wiosło, ni śmiały bród ludzi,

> ni trzoda bliskiego pasterza
>
> swawolnym pływaniem nie brudzi […]
>
> jak miło się wsłuchać w twój szelest i gwary

pisał Maciej Kazimierz Sarbiewski. Zmęczonym i przerażonym wędrowcom rzeka nie była tym, czym była niegdyś, dla pasterzy i poetów, którzy opiewali pasterskie, pogodne życie. Wydać się mogła raczej rzeką, która

> wszystko podzieli na wiosnę i jesień,
>
> na zimy siwe, pory wszystkich lat. […]
>
> ujrzy nas i uniesie […]
>
> a czasem w niej westchnienie, co o oddech prosi […]
>
> i myją w niej krwawe dłonie ci, którzy zabili.

Późnym popołudniem zapukali do drzwi babci Marii na Zasaniu. Mieszkanie było już przepełnione, bo znaleźli w nim schronienie również inni uciekinierzy: wuj Stefan z żoną i córką w wieku

Marysi. Pobyt u babci był dla trójki dzieci okresem nieoczekiwanych, a miłych wakacji, lecz dorośli martwili się o pozostawione mienie. Nie wiedzieli, czy będą mieli do czego wracać, kiedy niebezpieczeństwo minie. Docierały do nich groźne wieści. Dowiedzieli się, że ucieczkę podjęli w ostatniej chwili, bo nazajutrz rano splądrowano leśniczówkę pozostawiając tylko ciężkie meble. Wiedzieli, że w razie gdyby zostali, ich los byłby przesądzony. Przypisywali ocalenie Opatrzności, która czuwała nad pielgrzymami do Świętej Góry.

Po powrocie przywitały ich uszkodzone, lecz własne ściany, przez okna mogli oglądać te same drzewa i krzewy. Kapliczkę znaleźli nieuszkodzoną, o czym przekonali się, gdy weszli na górę, by za ocalenie podziękować Matce Bożej. Życie potoczyło się dalej, jak toczy się rzeka, gdy minie stopnie wodospadów, a jej powierzchnia *ledwo się marszczy, gładka i równa, spokojna i cicha*. Lecz po nocnej wędrówce przez las Marysia nie od razu pozbyła się lęków. Gdy patrzyła na ścianę lasu za domem, wcale nie miała ochoty wchodzić na żadną leśną ścieżkę. Dziecinne strachy musiały ustąpić jednak przed obowiązkami szkolnymi. Marysia zaczęła chodzić do szkoły w Gawarzeczyźnie, a potem w Białym Kamieniu. Z Gawareczyzny do Białego Kamienia było nieco bliżej niż do stacji kolejowej w Ożydowie. Szło się na południowy zachód, a nie na północ, lecz także trzeba było przejść przez okoliczne lasy. Marysia nie chodziła długo do tej szkoły. Widząc każdego ranka niechęć do wyjścia z domu i

zmęczenie po każdym szkolnym dniu, rodzice zdecydowali umieścić Marysię w zakładzie Sióstr Miłosierdzia. Ale i to rozwiązanie okazało się zbyt uciążliwe dla wrażliwej i wątłej dziewczynki. Do czwartej klasy Marysia poszła w Tarnopolu, gdzie mieszkał starszy syn ojca z pierwszego małżeństwa, Bronisław. Było to dość duże miasto liczące, według Orłowicza, około trzydziestu pięciu tysięcy mieszkańców. W mieście były trzy gimnazja, szkoła realna, szkoła przemysłowa, seminarium nauczycielskie oraz kilka szkół prywatnych.

Bronisław miał dobrą pracę jako inżynier w dyrekcji kolei, zajmował z żoną ładne, obszerne mieszkanie. Jego żona miała na imię Helena. Kilka lat wcześniej stracili własne dziecko, a Helena nie mogła mieć więcej dzieci. Wydawało się, że obecność Marysi w domu stryjostwa będzie dla wszystkich błogosławieństwem, lecz zamiast opiekuńczej troski, Helena zaczęła przejawiać wrogość wobec gościa. Jedynie siostra Heleny i jej matka były dobre dla Marysi. Przychodziły w odwiedziny dość często, starały się łagodzić sytuację. Zaczęły uczyć Marysię grać na pianinie, kupowały rozmaite smakołyki, w zimie wypożyczały dla niej łyżwy i zabierały na tarnopolską ślizgawkę. Ich zabiegi okazały się jednak mało skuteczne, bo Helena miast coraz mniej, coraz bardziej dokuczała dziecku. W końcu rodzice postanowili zabrać córkę do domu, choć to wiązało się z koniecznością przedwczesnego zakończenia edukacji.

W rodzicielskim domu wszystko wyglądało po staremu. Ojciec był niezwykle gościnnym człowiekiem, zapraszał rodzinę i znajomych, przyjmował na wakacje dzieci i młodzież. Lubił żartować i rozmawiać. Marysi nie brakowało więc towarzystwa. Mimo, że przeszedł na emeryturę jako nadzorca klasztornych lasów, w związku z czym rodzina musiała opuścić obszerną leśniczówkę i zamieszkać w małej gajówce, prowadził nadal gospodarstwo na dzierżawionych od klasztoru polach. Nie robił tego sam, ale podnajmował ziemię okolicznym rolnikom, a ci dzielili się z nim plonami. Urządzał też duże festyny na rynku w Białym Kamieniu, które gromadziły tłumy uczestników z okolicznych miejscowości. Oprócz jarmarcznych gier i zabaw, sprzedawano czarną ceramikę z warsztatów gawareckich rzemieślników oraz produkty pól i lasów. Niestety, ojciec zmarł po dwunastu latach od przejścia na emeryturę, a Siostry Miłosierdzia nakazały rodzinie opuścić gajówkę w ciągu dwóch tygodni.

Śmierć ojca nastąpiła w roku, w którym kończyła się umowa dzierżawy, tak, jakby dzierżawa ziemi i życie były związane ze sobą. Jakby praca i życie były nieodłączną całością, a gdy zabrakło możliwości pracy, zabrakło też chęci do życia. Po pogrzebie znaleziono wśród papierów leśniczego długi wiersz, w którym skarżył się na los, przewidywał taki właśnie koniec swego ziemskiego bytowania. Marysia razem z matką i bratem przeniosły się w 1936 roku do Złoczowa. Było to miasto liczące,

jak nadmienia Orłowicz, trzynaście tysięcy mieszkańców. W siedemnastym wieku należało do rodziny Sobieskich. W podziemiach kościoła przekształconego w 1836 roku na cerkiew były grobowce sióstr Jana III. Podczas ostatnich wakacji na Gawareczyźnie Marysia z rodziną odwiedziły też zamek Sobieskich w Podhorcach. Zachowało się kilka fotografii z tego ostatniego spaceru po okolicy. Na jednej z nich jest wielka studnia podobna do tej, która była koło leśniczówki. Na drugiej widoczna jest grupka trzech młodych kobiet w jasnych sukienkach, za nimi stoi Marysia w ciemnej sukience. W tle kopuła kościoła świętego Józefa.



Jednak tuż po Pierwszej Wojnie Światowej obywatele miasta nie mogli cieszyć się pokojem. O tym epizodzie historycznym przypomina wydana w 1921 roku przechowana przez rodzinę broszura pod tytułem *Z krwawych dni Złoczowa 1919 roku*. Są w niej zamieszczone relacje naocznych świadków przesłuchań, więziennych tortur i egzekucji. Władysław Pieniążek, były kapitan wojsk austriackich, został aresztowany pod zarzutem zdrady stanu. Podczas przesłuchań zarzucano mu, że *na wypadek zbliżania się wojsk polskich do Złoczowa miał na czele polskiego oddziału wpaść na tyły ukraińskie*. Gdy próbował tłumaczyć, że planu takiego nie było, został zakrzyczany przez prowadzących przesłuchanie wojskowych ukraińskich *(my wże wsio znajemo)*, a następnie odprowadzony do kaźni. Zastał tam, jak pisze, skatowanego wcześniej notariusza Sawickiego i innych znajomych aresztowanych pod rozmaitymi absurdalnymi zarzutami. Sąd działał szybko, a sądzeni byli pozbawieni możliwości wypowiedzi. Franciszek Jarzębski, zwrotniczy kolejowy, został aresztowany pod zarzutem przynależności do nielegalnej organizacji kolejarzy, która miała rzekomo wysadzać mosty. Jarzębski wspomina, że następnego dnia, gdy znalazł się w celi po okrutnym pobiciu, wezwano na rozprawę sądową dwudziestu współtowarzyszy. Po rozprawie wszyscy wrócili jeszcze do celi, ale około dziesiątej wieczorem wyprowadzono pięciu, a pozostali usłyszeli salwy plutonu egzekucyjnego. W więzieniu złoczowskim znalazły się też kobiety. Dozorczyni więzienia wspomina, że aresztantki, słysząc salwy plutonów

egzekucyjnych mdlały, a oficer, którego prosiły o pomoc przy cuceniu omdlałych śmiał się i twierdził, że tak będzie jeszcze przez tydzień lub dwa, więc zdążą się przyzwyczaić.



Zamek Sobieskiego w Podhorcach.

Kiedy Marysia znalazła się w Złoczowie, echa tamtych *krwawych dni* już przebrzmiały, miasto znowu tętniło życiem. Wieczorami ulice zapełniały się eleganckimi spacerowiczami, którzy czuli się bezpiecznie do późnych godzin. Już wcześniej zamieszkał w mieście starszy brat Marysi, Czesław, który był zawodowym wojskowym. Marysia zaczęła spotykać znajomych brata, nawiązywać przyjaźnie. Z grupką znajomych odbywali spacery po mieście, chodzili do kina i na koncerty. Poznała też pewnego młodego człowieka, z którym spodziewała się połączyć swe losy w przyszłości. Miał na imię Władysław, ale na kilku zachowanych

zdjęciach Marysia zapisała zdrobniałą formę imienia: Władek. Był nieco wyższy od Marysi, szczupły, miał ciemne włosy, krótko przystrzyżone wąsy i nosił okulary. Marysia mogła o nim pomyśleć strofami jednego z wierszy Bohdana Zaleskiego:

> Wzniosły, smukły i młody,
>
> o! nielada urody;
>
> śliczny chłopiec – czego chcieć?
>
> Czarny wąsik! biała płeć.
>
> Każde słówko, co powie,
>
> lgnie mi w sercu i w głowie.
>
> Śliczny chłopiec – czego chcieć?
>
> Czarny wąsik, biała płeć.

Nuciła sobie te słowa do melodii skomponowanej przez Chopina, a nazwanej *Canto Polaco (Opus 74 nr 8)*.

Władek był kolegą Gienka, jednego ze złoczowskich przyjaciół,

późniejszego dowódcy oddziału Armii Krajowej, w którym znalazła się też Marysia. Na zimowym zdjęciu Gienek stoi obok Marysi w długim płaszczu z futrzanym kołnierzem, na głowie ma ciemny kapelusz. Na innym zdjęciu z wiosny 1937 roku idzie z trójką dziewcząt, z Marysią przy prawym ramieniu. Jest ubrany w ciemny garnitur, sweter i krawat. Twarze idących rozpromienia wiosenny uśmiech. Na zdjęciu z dwudziestego listopada 1938 roku Władek stoi razem z trzema mężczyznami za ławką w parku, na której przysiedli trzej inni koledzy. Mężczyźni bez towarzystwa kobiet są poważni, nie uśmiechają się.

Spokojne spacery ulicami Złoczowa nie trwały jednak długo. Wszelkie plany Marysi o radosnej i spokojnej przyszłości legły w gruzach we wrześniu 1939 roku. Do miasta wkroczyły wojska sowieckie, zaczął się znowu terror. Mnożyły się aresztowania znaczących rodzin, więźniowie byli torturowani, rozstrzeliwani, a ci aresztanci, którym udało się przeżyć byli zsyłani z rodzinami na Syberię. Zamiast na skwery, koncerty i do kina, mieszkańcy chodzili codziennie na dworzec kolejowy, by sprawdzić czy podstawiono wagony z tak zwanymi *kominkami*, przeznaczone do dalekiej podróży w głąb Kraju Rad. Nie było łatwo odnaleźć krewnych i znajomych, bo grupy zesłańców liczyły zwykle po sto lub nawet dwieście osób. Na dworcu rozgrywały się dramatyczne sceny. W mieście panowały strach i rozpacz.

Marysia mieszkała sama z matką. Brat Czesław brał udział w

obronnych bitwach na Śląsku, dostał się do niemieckiej niewoli, lecz zdołał uciec i do końca wojny ukrywał się w majątku krewnych koło Jarosławia. Wiadomość o tym dotarła do rodziny dopiero po wielu miesiącach. Na początku wojny matka i siostra nie wiedziały, czy przeżył i co się z nim stało, potem drżały wciąż o jego los. Same też były zawsze przygotowane, że do drzwi ich mieszkania zapuka NKWD. W przedpokoju stał podręczny bagaż. Marysia i matka dowiadywały się raz po raz, że znajomych ubywa, że tego aresztowano, tamtego rozstrzelano, inni zostali wywiezieni lub są zagrożeni. Doczekały się tego, że do ich mieszkania zostali dokwaterowani Sowieci, zajęli pokoje, a one musiały pomieścić się w małej kuchni.

Represje rodziły opór. Młodzi mężczyźni wstępowali do Armii Krajowej. Za przykładem Gienka również Marysia złożyła przysięgę i otrzymała pseudonim Apolina. Przeszła przeszkolenie, nauczyła się posługiwać bronią krótką, długą oraz granatami. Poznała też metody konspiracyjnego porozumiewania się między poszczególnymi grupami bojowymi. Do jej obowiązków należało utrzymanie łączności między dowództwem okręgu, a komendami powiatowymi w Przemyślanach, Brodach, Krasnem, Busku, Zborowie, Złoczowie i Tarnopolu. Przewoziła rozkazy wojskowe, mapy sztabowe z oznaczonymi rejonami działań lub zrzutów, plany akcji, dokumenty personalne dotyczące awansów, odznaczeń, a także prasę konspiracyjną. Matka, wnuczka powstańca z 1863 roku, wiedziała o działalności

Marysi, ale nigdy nie oponowała. Wędrowała po województwie tarnopolskim z fałszywymi dokumentami osobistymi. Pewnego razu miała dostarczyć bardzo ważny i pilny meldunek. Aby go dowieźć na czas, musiała wsiąść do pociągu na dworcu w Złoczowie. Kiedy tam dotarła, zobaczyła, że dworzec obstawiony jest przez niemieckich żołnierzy. Gdy pociąg ruszał, szybko przebiegła przez tory i wskoczyła do pociągu. Na szczęście żaden z żołnierzy nie zareagował, a dowódca jej oddziału, który obserwował skok, mógł odetchnąć z ulgą. W listopadzie 1943 roku komendant okręgu tarnopolskiego odznaczył Marysię Krzyżem Walecznych i nadał jej stopień plutonowego. Po jakimś czasie przełożeni uznali, że należy przenieść Marysię do pracy w zaopatrzeniu. Nowa praca wymagała zdolności organizacyjnych, Marysia miała dbać o to, by grupy bojowe otrzymywały dostawy na czas. Przez ręce Marysi przepływała żywność, leki i broń.

Gdy ruszyło niemieckie natarcie na wschód, dom, w którym Marysia mieszkała z matką, znalazł się w rejonie nalotów i bombardowań, w strefie szczególnego zagrożenia. Marysia zapamiętała szczególnie jeden bombowy nalot. Pożar wybuchł w sąsiednim domu, przerażona sąsiadka przybiegła z prośbą o pomoc w ratowaniu dobytku. Wyrzucały we dwójkę przez okno, co tylko wpadło im w ręce, opróżniały szafy aż do momentu, gdy runął sufit. Uciekały w popłochu przez kuchnię ciągnąc za sobą ciężki kufer wypełniony odzieżą i pościelą. Gdy były w korytarzu, runął kolejny sufit, musiały porzucić ciężar i ratować się same.

Gdy znalazły się na zewnątrz budynku, Marysia z przerażeniem zobaczyła, że jej budynek też stanął w ogniu. Na razie palił się tylko strych, matka wyrzucała przez okna ich rzeczy. Marysia rzuciła się na pomoc, wynosiły teraz sprzęty do ogrodu. W pewnej chwili Marysia potknęła się i upadła na chodnik. Leżały tam fragmenty potłuczonego szkła, które boleśnie ją pokaleczyły. Nie było czasu ani możliwości usunąć wszystkich odłamków z głębokich ran. Skutki tych okaleczeń gnębią Marysię do dziś. Odczuwa ból, zwłaszcza, gdy wchodzi po schodach do swojego powojennego mieszkania.

Razem z sąsiadką i jej współlokatorką, wśród kłębów dymu z pogorzeliska, spędziły noc w ogrodzie. Dopiero następnego dnia poszły do miasta, by szukać schronienia. Znalazły pokój u pewnej kobiety mieszkającej samotnie w dużym domu, ale po kilku dniach przybyła tam jej rodzina, która uciekła ze swojego domu w innym mieście, więc musiały się wyprowadzić. Podczas, gdy cieszyły się ze schronienia w trzecim z kolei miejscu, nadleciały znowu samoloty. Bomby zaczęły spadać w pobliżu, ludzie wybiegli z budynku i w popłochu kryli się wśród zarośli nad rzeką. Marysia z matką zdążyły dobiec do swojego domu, który uległ wprawdzie poważnym uszkodzeniom, ale nie trawiły go już płomienie, a piwnice były tam nienaruszone. Miały dobre przeczucie. Ci, którzy pobiegli nad rzekę, źle wybrali. Wprawdzie żadna z tych osób nie zginęła, ale wszyscy zostali ranni, bo samoloty siały bomby właśnie wzdłuż rzeki.

Wkrótce po tym nalocie do miasta wkroczyły niemieckie jednostki lądowe. Podczas przemieszczania się frontu mieszkańcy starali się pozostawać w ukryciu, dopiero potem zaczęli wychodzić z piwnic i rozglądać się po okolicy. Marysia i jej matka stwierdziły, że w ich domu brakuje w oknach szyb, zawaliły się fragmenty sufitu, nadpalił się strych. Pomimo tego miały zamiar tam powrócić, ale w ogrodzie znalazły świeży grób i choć nie wiedziały, kto w nim spoczął, nie chciały mieszkać w tym „sąsiedztwie". Dowiedziały się, że w dużej willi siostry ich sąsiadki nie ma lokatorów, bo jej mąż został rozstrzelany przez Sowietów, a ona uciekła razem z dziećmi. Sowieccy żołnierze, którzy tam stacjonowali, zniszczyli wprawdzie i zrabowali sprzęty, ale można tam było mieszkać. Wysprzątały kuchnię oraz jeden pokój i przez miesiąc mogły cieszyć się, że mają nad głową cały sufit, a nawet i dach. Willa zainteresowała jednak niemieckich okupantów i musiały się wyprowadzić. Przez całą wojnę tułały się z mieszkania do mieszkania, zagrzewając dłużej tylko w jednym miejscu. Był to niewielki dom daleko od centrum miasta, co miało tę zaletę, że żołnierze nie mieli zwyczaju tam zaglądać. Ponadto w przydomowym ogródku można było sadzić warzywa. Tam doczekały końca wojny. Gdy wojska niemieckie zaczęły się cofać, stało się jasne, że po nich przyjdą po raz drugi Sowieci. Kto ich poznał wcześniej, nie chciał doczekać ponownego spotkania. Po dziesięciu latach spędzonych w Złoczowie, Marysia i jej matka postanowiły wyruszyć znowu na Zachód, za Bug. Tym razem wiedziały, że wyruszają na zawsze.

Wiedziały, jak wiedział poeta, że trzeba się modlić tak:

> Jeno wyjmij mi z tych oczu
>
> szkło bolesne – obraz dni,
>
> które czaszki białe toczy
>
> przez płonące łąki krwi.
>
> Jeno odmień czas kaleki,
>
> zakryj groby płaszczem rzeki,
>
> zetrzyj z włosów pył bitewny,
>
> tych lat gniewnych,
>
> czarny pył.

Zezwolenie na wyjazd, które Marysia zdobyła, było dla dziesięciu osób, należało więc znaleźć osiem innych osób chętnych do ewakuacji. Nie było to trudne, choć niektórzy mieszkańcy Złoczowa wciąż się wahali, co robić w tej sytuacji. Problem polegał jednak na tym, że do wagonu mogli wejść tylko

członkowie rodziny. Służby dworcowe zainteresowały się osobami zgromadzonymi przy wagonie, ujawnienie prawdziwych nazwisk wszystkich osób groziło śmiercią. Trzeba było działać szybko. Marysia wyjęła z podróżnego bagażu upieczonego na drogę królika i dała urzędnikom. To na szczęście wystarczyło. Wreszcie, około piątej po południu, transport ruszył, a z nim uciekinierzy oraz ich dobytek. Ale gdy dotarli do Janowa, pociąg stanął. Okazało się, że Ukraińcy wysadzili tory. Parowóz wypadł z szyn, trzeba było sprowadzić inny i naprawić szyny. Dworzec w Janowie został też zbombardowany, ale pociąg zdołał odjechać i następnego dnia rano dojechał do Jarosławia. Na dworcu czekał brat matki Marysi, Stanisław, który kilka dni wcześniej przebył z rodziną tę samą drogę ze Złoczowa (do stacji w Złoczowie dotarł z Broszniowa, gdzie przed wojną był dyrektorem kopalni naftowej). Z Jarosławia udali się do Roźwienicy, majątku Górskich, w którym inny krewny był przed wojną zarządcą. Przywitał ich brat Marysi, Czesław, który w Roźwienicy ukrywał się od ucieczki z obozu jenieckiego.

Marysia czekała teraz już tylko na jedno spotkanie: spotkanie z tym chłopcem, którego opisywała sobie słowami Zaleskiego, w takt pieśni Chopina. Czas mijał, ale Władek, który obiecał odszukać ją zaraz po wojnie, nie zjawiał się. Wśród osób z pociągu był jednak inny młody człowiek, uciekinier z Gawareczyzny, kolega Władka i Gienka z oddziału Armii Krajowej, Franek. To smutny, barczysty mężczyzna

sfotografowany na ławce w złoczowskim parku w 1938 roku. Wspomnienia i wspólna podróż zbliżyły ich do siebie. Franek odważył się poprosić Marysię o rękę i został przyjęty. Wkrótce po ślubie w kościele w Rudosławicach Marysia i Franek przenieśli się do Jarosławia, gdyż majątek roźwienicki przestał być majątkiem Górskich i przestał być dla nich domem.



W powojennym Jarosławiu życie było trudne. Nawet stali mieszkańcy nie mieli dobrych warunków mieszkaniowych, a co dopiero ci, którzy przybywali z okolic miasta. Marysia i Franek znaleźli jednak pracę i powoli zaczęli remontować przyznane

mieszkanie. Kiedy ich po raz pierwszy odwiedziłem, a było to dopiero po mojej maturze, Franek zaprowadził mnie na brzeg urwiska nad Sanem. Wskazał ręką przed siebie. – Tam jest Lwów – powiedział. Nie powiedział nic o Gawareczyźnie. Tamte wspomnienia były zbyt bolesne. Nie przypuszczałem wtedy jak bardzo. Nie wiedziałem, że szeroka, głęboka studnia przy leśniczówce pradziadków stała się grobem dla wielu mieszkańców Gawareczyzny. Nocami, gdy nie mogła spać, Marysia wspominała sąsiadów, których nie ma: Bałuczyńskich, Bakusiewiczów, Bednarskich, Borodyńskich, Czosnykowskich, Garbozińskich, Jureczko, Jurkiewiczów, Kupińskich, Kutyńskich, Kuziemskich, Leśniowskich, Łabuńskich, Manowitów, Mitulińskich, Muszyńskich, Szuszańskich i Wiślińskich.

Franek nie cieszył się dobrym zdrowiem. Życie nie rozpieszczało ułomnego chłopca z biednej rodziny, a warunki okupacji, działalność w Armii Krajowej, dodatkowo nadszarpnęły wątłe siły. Ostatnie lata przeżył w cierpieniu, wymagał intensywnej opieki, a rok po przeprowadzce do nowego mieszkania zmarł. Natomiast ukochana i dzielna matka Marysi dożyła swych setnych urodzin, a zmarła w wieku 104 lat. Marysia została sama. Żyła spokojnie, z radością przyjmowała gości. Wyjmowała czasem z szuflady w starym kredensie jeden z ocalałych wierszy ojca pod tytułem *Skarga* i czytała.

> W głębokim jarze, śniegiem zawianym,
>
> siedzę samotny i zadumany.
>
> Każde wspomnienie serce me smuci,
>
> jak było dawniej, to już nie wróci.
>
> Nie trać nadziei,
>
> mówi duch przyrody,
>
> wiosna zawita, spłyną śniegi, lody,
>
> a promień słońca duszę Twą ogrzeje.

Wiersz został napisany w 1907 roku, jeszcze przed ślubem z Heleną, matką Marysi. A przechowywany był w kredensie, który Józef zamówił u wędrownych cieśli. Kredens i parę innych mebli z tego samego drewna udało się uratować z pożogi wojennej. Zostały przewiezione z Gawareczyzny do Złoczowa, potem ze Złoczowa do Jarosławia. Były uszkodzone, ale spełniały swoje funkcje. Ciemne drewno ze starej gruszy wyglądało elegancko, lepiej niż powojenne krzesła i sprzęt kuchenny. Kiedy zachodzące słońce wpadało przez oszklone drzwi małego

balkonu, widać było na powierzchni drewna rozmaite zadrapania. *Ale to nic* – wyjaśniała Marysia. *Na nowszym stole nie ma wprawdzie zadrapań, lecz nie widać też historii* – dodawała. Zmarła w wieku 102 lat.

> Słońce, co złotem gaje powleka,
>
> pełne uroku jako przyjaźń człeka;
>
> tam zszedł błogo życia początek,
>
> tam jest mój luby rodzinny kątek […]
>
> Pod drzewem domek dziada, pradziada,
>
> tam mnie na ręku nosiła matka;
>
> wszystko się sercu tak mile śmiało,
>
> wszystko, com kochał, tam pozostało,

mogłaby recytować za Wincentym Polem. Wszystko, ale nie ten kredens, ta szafa i dwie mniejsze szafki. Te stare meble przypominały Marysi pokoje w leśniczówce, starannie przecierała je co parę dni ściereczką od kurzu. W szufladach

panował wzorowy porządek. Nie było jednak na półkach ani tomiku wierszy Pola, ani tomiku z wierszem Zaleskiego. Ani broszury o Złoczowie wydanej w 1921 roku. Te książki stoją na moich półkach, to ja mam je czytać i o nich pamiętać. Jak i wiersz Słowackiego o aniołach.

> Anioły stoją na rodzinnych polach
>
> i chcąc powitać lecą w nasze strony,
>
> ludzie schyleni w nędzy i niedolach
>
> cierniowemi się kłaniają korony,
>
> idą i szyki witają podróżne,
>
> i o miecz proszą tak jak o jałmużnę.

> Rzeko z cudzoziemców strony,
>
> czemu nurt twój tak zmącony?

> czy się gdzie zapadły brzegi,
>
> czy stopniały stare, stare śniegi?

napisał Stefan Witwicki, autor między innymi parafrazy Mazurka Dąbrowskiego. Chopin skomponował do tych słów pieśń, która płynie przejmującymi tonami cichego lamentu. Mickiewicz cenił poezję Witkiewicza. Pisał o jednym z jego artykułów, że jest *wyborny, stylem wcale nie warszawskim, bo czystym, jasnym i mocnym.* „Smutna rzeka" Witwickiego i Chopina *śpiewa żałosne pieśn* o spotkaniach z duchami, wtóruje aniołom Słowackiego.

Ryszard T. Sawicki, *W Jarze*:

https://www.cultureave.com/w-jarze/